

# WIDOKÓWKI z SYRENA



## A TO CI ZABAWA

**D**wa najpoważniejsze pisma codzienne stolicy źle przyjęły premierę Skuszanki „Harfa traw”. Recenzenci wprawdzie udo-

wodnili, że są dobrze wychowani migając dygresyjnymi duserami, wymowa ich opinii jest przecie jednoznaczna. Ostatecznie nie byłoby o czym pisać, jako że nasi ukochani zoilowie kochają trzaskać szablami i sypać iskrami z oczu, gdyby nie pewien drobny fakt, który każe mi pisać te słowa i wietrzyć niebezpieczeństwo grożące nam, widzom, zachwianiem równowagi psychicznej. Otóż nazbyt często jednak natrafia się na rażące rozmiżanie ocen recenzentkich z opinią widzów. Rzecz jasna, nie byłoby dobrze, gdyby krytyka ulegała skonwencjonalizowanym gustom czy terrorowi szmirowatego teatru. Sprawą krytyki jest nie raz i nie dwa walczyć nawet samotnie z latwiną teatralną i tym, co nazywamy „publiczką”. Przecie są sytuacje, są przedstawienia o randze artystycznej, poparte przy tym aplauzem widzów, powszechną sympatią widza — czego krytyka za żadne skarby dostrzec nie chce. Co tu dużo mówić — tradycyjnie zimna publiczność premierowa przyjęła „Harfę traw” więcej niż ciepło, dzień później znalazłem się przypadkiem po raz drugi na tym przedstawieniu, była burzliwa właściwie owacja, dzisiaj bilety wysprzedane są z góry na dni kilkanaście. Czy to wszystko nic nie znaczy, gdy zważywszy w dodatku, że na scenie nie idzie przecie „Królowa przedmieścia”?

Powiada się, że wiele już zmieniono, by porozumienie między krytyką a publicznością było lepsze. No, no... Zaczynam mieć do tego faki stosunek, jak miał do roweru gazda Wawrutko, który tak mawiał do Antoniego Sto-

nimskiego: „Wicie, panie, ten rower to żaden wynalazek, bo i no dupo siedzi, a nogi jak chodzą, tak chodzą”.

Napisałem to co wyżej i pomyślałem sobie, jak to dobrze jednak, że nie jest to felieton z Krakowa, bo tam by zaraz powiedzieli, iż przyczepiam się do Teatru Starego, gdzie dano właśnie Wyspiańskiego „Wesele” i Mrożka „Zabawę” oraz „Śmierć porucznika”. Przedstawienia jak przedstawienia, śtuki jak śtuki, ale — o, mój panie Boże — w tę piękną jesień bukowo-czerwieną trzaskać już w palce nie będziemy i czupryny w górę nie pójdą. Co wcale nie oznacza, iż pisarze i publicyści odejdą od owych narodowych obrachunków.

Rzecz bowiem w tym, że jak długo będą chodzić po polskiej ziemi pokolenia, którym młodzieńczą świadomość kształtowała wieszczce, jak długo będą od-dychać kombatanoci różnych Narwików czy Rokitnych, jak długo jeszcze żyć będą moi rówieśnicy z powstania warszawskiego i nasi ojcowie, pragnący mimo wszystko dowiedzieć, że klęska Polski przedwrześniowej nie była ich klęską — tak długo jeszcze ów dyskusyjny obrzęd narodowy trwać będzie. Czas tylko, czas — panowie — te dylemata załatwić. Czas, który sprawia, że ludzie na ogół mądrzeją i który rozliczy się z osobnikami faustycznymi. Bogiem zaś a prawdą owe spory niewiele mają znaczenia dla konterfektu nowych pokoleń i dla myśli politycznej też nie za głębokie, bo myśl ta — na szczęście — nie buja już w obłokach.

Z tym teatrem, z owym domniemanym kryzysem jest zresztą trochę tak jak i z powieścią. Pomyślałem sobie o tym po przeczytaniu fascynującej mimo róż-

ne opory czytelnicze nowej książki Jerzego Andrzejewskiego: „Idzie skacząc po górach”, którą księgarze warszawscy nazwali po prostu „Idąc, skacząc”. Ci księgarze sprzedawali tę książkę z takim trachem uśmiechem konfidencjonalnym, a trochę z błyskiem niepewności i lekkiego przestrachu w oczach. Powieść ta — czy jak wolicie antypowieść — zniknęła z półek jak kamfora z odkrytej butelki. Nie obawiałbym się jednak, że teraz ludzie od razu przestaną czytać Kraśzewskiego. Właściwie na całym świecie na liście bestsellerów utrzymuje się nadal tradycyjna beletrystyka. W Stanach Zjednoczonych, kraju wysokiej cywilizacji technicznej, fala tej beletrystyki jest ogromna.

Czyż więc nieprawdą jest, że we współczesnych pracowniach literackich powstaje nowoczesny gatunek pisarski, a więc to, co nazywamy antypowieścią, krótką rozprawą, gdzie akcja jest tylko pretekstem do wyłożenia myśli pisarza o otaczającym go świecie? Owszem, jest prawdą, ale z tego wcale nie wynika, że nastal kres powieści. Poszperajmy dobrze w pamięci, a odnajdziemy wzory tych nowych prac już w wieku XVIII, kiedy to pod pretekstem „formy powabnej” powstawały powieści traktatowe, takie jak „Emil” czy „Nowa Heloiza”. Antypowieści więc powstają, będzie nieraz na nie moda, przecie — tak się wydaje — klasycznej powieści nic na razie w opinii mas czytelniczych nie grozi, ani traktaty literackie, ani telewizja, ani film. Ten ostatni, śmiej się, nawet pomaga książce. Obraz filmowy bowiem uplastycznia, ułatwia pracę wyobraźni czytelnika, ale ta wyobraźnia zgłasza swoje zapotrzebowanie nie tylko przez słowo ilustrowane.

Niewątpliwie rozwój gatunków artystycznych trwa, trwają również i poszukiwania. W teatrze, literaturze, filmie czy malarstwie. Głównym motywem tych poszukiwań są ambicje zmierzające do najpełniejszego wypowiedzenia człowieka. Wydaje się, że mimo atomowej wrażliwości czytelnik nadal śledzi najchętniej losy ludzkie na kartach „tradycyjnej” powieści i na deskach „konwencjonalnego” teatru.